Nr. 13. We Lwowie, Poniedziałek dnia 31. marca. 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Kronika Paryska.

W Marcu 1890. r.

(„Margot", komedya Meilhaca, — Wojna w świecie artystycznym. — Pierre Loti. — Krzyżowcy.

„Margot", przedstawiona na deskach komedyi francuzkiej, jest próbką czysto paryskiego dowcipu. Wesoła, zręczna, lecz pozbawiona wszelkiej głębszej myśli, o tendencyi wcale dwuznacznej, jest produktem najświeższej doby. Meilhac wprowadza w tej komedyi dziewczę z upadłych sfer. Niewinna jeszcze do pewnego stopnia, dostaje się z prowincyi do Paryża, gdzie opiekuje się nią przyjaciółka jej matki, osoba wielce podejrzanych obyczajów. Stary bywalec Boisvillette zajmuje się losem biednej istoty, wychowuje ją starannie, by w końcu zaofiarować jej swą rękę. Jednakowoż Margot odmawia mu stanowczo, oświadczając, że przy tak znacznej różnicy wieku, jaka między nimi zachodzi, nie mogłaby mu pozostać wierną. Rad nie rad wydaje ją przeto Boisvillette za młodego leśniczego, który wprawdzie kocha Margot lecz nie może się pochlubić jej wzajemnością. Energiczny młodzieniec zapowiada swej przyszłej, że na wypadek, gdyby zamierzyła mu się sprzeniewierzyć, czeka ją porządna porcya kijów i — sztuka skończona. Autor urywa swe dzieło w najciekawszej chwili, zostawiając słuchaczom wolne do domysłów pole. Wesoła komedya łatwo może się przeistoczyć w smutny dramat występku... Jak więc daleko odbiegł autor *Margot* od Augiera, który podobne tematy opracowywał w wykwintnej formie, mając zawsze na oku względy wyższej moralności? Pojawienie się sztuki Meilhaca notujemy li z obowiązku kronikarskiego, gdyż trudno przypuścić, by utwor ten uzyskał prawo wstępu na sceny zagraniczne.

Ważniejszym przeto o wiele jest spór powstały w tutejszym światku artystycznym, który spowodował rozdwojenie w sferach sztuki plastycznej. Stowarzyszenie artystyczne, urządzające coroczną wystawę w salonie, uchwaliło nie uwzględniać udzielonych podczas ostatniej wystawy medalów i dyplomów, gdyż wychodziło z zasady, że takowe rozdawano nie w uznaniu rzeczywistej wartości dzieł wystawionych, lecz raczej ze względów międzynarodowej kurtoazyi. Tu nadmienić wypada, że wedle dotychczasowej praktyki salonu, artyści posiadający oficyalną odznakę, tem samem wyjęci są od obowiązku przedstawiania swych dzieł, przeznaczonych na wystawę ocenie komitetu znawców. Zamierzano więc w ten sposób pozbawić artystów, odznaczonych podczas wystawy, służących im przywilejów. Przeciw temu oświadczył się Meissonier, który przewodniczył przy rozdawaniu medalów wystawowych, a widząc, że zdania jego nie uwzględniono, wystąpił ze stowarzyszenia wraz z gronem swych zwolenników. Występujący utworzyli odrębne stowarzyszenie, które urządzi w maju własną wystawę. Na tem zyskać może tylko sztuka i publiczność, która miasto jednego salonu posiadać będzie w roku bieżącym aż dwie wystawy, łatwiejsze do zwidzenia, gdyż nie będą tak przepełnione dziełami sztuki jak to dotychczas miało miejsce w pałacu przemysłu. Messonier wraz z swymi towarzyszami zamierza otworzyć swą wystawę na polu marsowem w pawilonie sztuki, podczas gdy dawne stowarzyszenie pozostanie w pałacu przemysłowym przy polach elizejskich. Pierwsi oznaczyli termin otwarcia na dzień piętnastego, drudzy na dzień pierwszego maja. Około Meissoniera gromadzą się ... którzy od dłuższego czasu trzymali się zdala od Salonu, niechcąc figurować w tłumie miernot. Po długoletniej przerwie ujrzymy więc artystów tej miary co: Alfred Stevens, Danian-Bouveret, Cazin, Roll, Courtoix, Duez, Dalon, Puvis de Chavannes, Cain, Fantin-Latour, Conturier, Adan, Gervex, Carnière, Jourdain, Delanee, Agare, że nie wymienimy pełnej liczby stu pięćdziesięciu artystów, którzy zgromadzili się koło starego Meissoniera. Nie należy wszakże pomijać milczeniem faktu, że i dotychczasowe stowarzyszenie liczy prócz wielu sił młodych, dużo obiecujących, także takie nazwiska jak: Bouguerau, Jules Lefebvre, Maignan, Robert-Fleury.

Z tem wszystkiem spór artystyczny o medale wydać się może komicznym tym, którzy mniej są obeznanymi z obecnymi stosunkami. Artyści tutejsi na punkcie odznak honorowych są nienasyconymi na równi z bracią po piórze i lutni. Orderomania w republikańskiej Francji wpaja się w wrażliwy umysł dziecięcia od lat najmłodszych.

Mimo stagnacji w dziedzinie literatury i sztuki, na którą się wszyscy uskarzają, nie brak nam od czasu do czasu ciekawych objawów. Nie mamy tu oczywiście na myśli owych „modnych" pisarzy, których sława na skrzydłach reklamy wzlata przez czas krótki pod niebiosy, by tem prędzej uciszyć się na zawsze. W wirze i w gwarze tutejszym trudno, by powstał, rozwinął się i dojrzał samoistniejszy talent. Częściej zdarza się fakt podobny w oddalonym kątku prowincji, wolnym od potężnego prądu nerwozy, która ogarnęła wszystkich niemal stołecznych pracowników ducha i fantazji. Jednym z takich samoistnych talentów, które w całym blasku występują przed oczyma zdziwionego ogółu, jest bezsprzecznie Piotr Loti. *Notre divin Loti* (W rze-

czywistości zwie się Ludwikiem Viand.) Urodził się w roku 1850 w Bretanii. Jest oficerem marynarki i jednym z redaktorów *Revue des deux Mondes*. Bretończyk z urodzenia jest realistą, nie sentymentalnym piewcą, co mu jednak nie przeszkadza być zdrowem dziecięciem naszego wieku. Bretania dzięki swym historycznym tradycjom oraz swemu geograficznemu położeniu pozostała dotychczas najmniej dotkniętą nowoczesnymi prądami. Tam religja stanowi dziś jeszcze potęgę, z którą się każdy musi liczyć. Wiara przeszła tam w krew i kość ludu. Bretończyk nie stara się upiększyć zła, nawet wówczas gdy je sam popełnia, nie posługuje się sofizmatami, by uwolnić się od spełnienia obowiązku. Moralne jego przekonanie równa się głazom granitu. Wedle niego ocenia innych i samego siebie. Wszelkie układy zawierają się tam ustnie; w kontraktach między właścicicielem a posiadaczem wystarcza w zupełności słowne przyrzeczenie. Nadto panuje w Bretanji najsurowsza moralność, i gdyby nie zgubny nałóg pijaństwa, szczep Bretoński byłby narodem wybranym. Loti w pracy swej p. t. *Mon frére Ives* poświęca tej właśnie klęsce, wielce interesujące studjum, podobnie jak w dziele *Un vieux* dał swym czytelnikom artystycznie nakreślony obraz z życia, który każdy najwybredniejszy znawca literatury z zajęciem musi odczytać do końca. Opisy podróży Loti'ego są nader żywo kreślone, z nieporównaną plastyką. Żywa wyobraźnia, nadzwyczajny dar obserwacji pomagają mu w tworzeniu tych opisów, w rzędzie których królują; *Madame Chrysanthéme i Japoneries*. Najgłówniejszem wszakże dziełem młodego jeszcze pisarza, którem zapewnił sobie pierwszorzędne stanowisko we współczesnej literaturze, jest romans wydany w tych czasach p. t. *Pêheur d'Islande*, który w ciągu kilku ostatnich miesięcy doczekał się sześćdziesięciu siedmiu wydań. Carmen Sylva przyswoiła ten utwór literaturze niemieckiej.

Przerzucając w tych dniach ogłoszenia w *Petites Affiches Parisiennes* znaleźliśmy wielce ciekawą ofertę. Oto niejaki p. Bourget wzywa ludzkość, by przystąp[illegible] Innemi słowy apostołów poszukuje prozelitów za pośrednictwem inseratów.

Jest to pomysł wcale praktyczny i dotychczas nie wyzyskany przez żadnego z sekciarzy. Co prawda Bourget traktuje swą sektę ze stanowiska przedsiębiorstwa akcyjnego. Krzyżowcy mają żyć wspólnie, odprawiać razem modły oraz mienie swe wraz z zarobkiem oddawać do wspólnej kasy. Nowy prorok zapewnia w ogłoszeniu, iż liczy już 70.000 zwolenników i że zamyśla z funduszów swych wiernych zakupić posiadłość nad morzem na wspólną własność. Dlaczego ta posiadłość ma się znajdować koniecznie nad morzem — tego pan Bourget bliżej nie wyjaśnia.

W uzupełnieniu niniejszego listu wspomnieć nam jeszcze wypada o dwu nowościach teatralnych. Pierwszą z nich jest dramat *Amour* Hennequin'a, osnuty na tle średniowiecznem, w którym główną rolę odegrywa mężo- i bratobójstwo. Mimo dobrej gry Antoniny Laurent, jako wiarołomnej żony Jana de Ligny, sztuka upadła. W *Varietès* odegrano sztukę Alceisa i Meteniera p. t. *Monsieur Betsy,* poprzedzoną szaloną reklamą — niemoralności. I w rzeczy samej reklama została tym razem w zupełności usprawiedliwioną. Widzowie kąpią się formalnie w błotnistej kałuży...

„Odważny" myśliwy.

Nie smiejcie się panowie, opowiadał p. Peikert, dzielny leśniczy ale najgorszy myśliwy a przytem łgacz jakich mało, ale posłuchajcie: W roku przeszłym, w ostatnich dniach października, podchmieliłem sobie troszkę i szarą godziną, słaby cokolwiek w nogach, lecz z spokojnem sumieniem wracałem ku domowi. Nagle moja Kora zaszczekała, i mówię wam, że dziwnie [illegible] Obróciłem się w tę stronę, że za moim psem biegnie drugie czworonożne zwierzę, lecz większe i silniejsze od mojej Kory. Nim zdążyłem włożyć okulary, aby lepiej dojrzeć, Kora wyjąc i skomląc przybiegła do mnie, a za nią ogromne wilczysko. Chciałem chwycić strzelbę i widzę z przerażeniem wielkiem, że zostawiłem ją w domu. Kurczowem poruszeniem ręki sięgam po kordelas, i o zgrozo! — tu już była wyższa lekkomyślność z mej strony, zapomniałem bowiem kordelasa w oberży, tylko pasek, do którego zwykle bywa przyczepiony, zwieszał mi się u boku.

Czy jesteście panowie zdolni wyobrazić sobie podobną sytuację? A co wszak teraz wam włosy na głowie powstają? Lecz pocieszcie się, gdyż i mnie włosy dębem stanęły. Ta tylko zachodzi różnica, że was byłaby bez wątpienia dzika bestja pożarła, ja natomiast przejechałem się na wilku i to w dosłownem znaczeniu tego wyrazu. Posłuchajcie panowie jak to było: Z początku wilk krążył w koło mnie, przysuwając się coraz to bliżej, ja także z równą szybkością obracałem się koło swej osi, nie spuszczając bestyi z oczu. Kora wcisnęła się pomiędzy moje nogi wyjąc ze strachu; przyznać muszę szczerze, że także nie śpiewałem z radości. Nagle widzę, że Kora wyskoczyła jednym susem — a w tej samej chwili czuję, że wilk wpadł mi pod nogi goniąc Korę. Atoli bestya przeliczyła się. Gdy uczułem, że wilk siedzi tu gdzie wprzód był pies, wytężyłem wszystkie siły i ścisnąłem bestyą nogami; poczem jednem poruszeniem ręki odpiołem rzemień od kordelasa, drugiem poruszeniem zarzuciłem na kark bestyi pętlicę, którą coraz to silniej przyciągałem. Gdy to moja Kora spostrzegła, dalej w nogi; wilczysko wyjąc z bolu biegło za nią, a ja jak król dębów jadę na dzikiej bestyi. — I tak dalej przez góry i doły aż ku leśniczówce, Kora biegła ciągle naprzód. Pętlica coraz mocniej się zaciągała, wilczysko wyciągało język, zwolniło biegu, aż tu oczom moim ukazują się drzwi mego domu w progu wilk padł i zdechł, zamęczyłem go na śmierć. A co powiecie na to?

Powiemy panie Peikert, abyś nam pokazał [illegible]

— Do szczęścia zawsze się przypląta nieszczęście — moi panowie — wystawcie sobie, że skórę mole mi zjadły ze szczętem.

Było już dosyć późno, leśniczy Peikert pozwolił sobie znów więcej niż zwykle, a droga do Hrabowa gdzie właśnie obecnie zauważano ślady wilków, prowadziła przez zarośla i dziki rozpadły wąwóz.

— Panie leśniczy — mówił Peikert do jednego z kolegów — moglibyśmy pójść razem przez wąwóz do Hrabowa.

— Jeżeli pan chcesz być prędzej w domu, to możesz znów wsiąść jak ongi na jednego z wilków, którego ślady co dopiero widziano — drwił towarzysz podróży.

— To się znajdzie, panie Krasnopolski, ma się rozumieć, że wilki innych potrzebują jeźdźców jak pan! — dobranoc, dobranoc panowie!

Noc była ciemna, pochmurna. Przyjaciel Peikerta, nieustraszony myśliwy stąpał też jakoś niezbyt pewnym krokiem. Szli tedy zwolna, dopóki po półgodzinnym marszu nie skręcili do Hrabowa przez wąwóz. Obok Kory biegł drugi pies, nadzwyczaj czujny. Dziwny jakiś niepokój zauwarzano u tego psa. Wietrzył na lewo i na prawo, szedł naprzód i wracał znów do swego pana. Gdy leśniczy zwrócił na to uwagę Peikerta, ten otworzył ze zdziwieniem usta i już chciał rozpocząć opowiadanie bohaterskich czynów, gdy nagle obydwa psy zaszczekały.

— Przechodziliśmy właśnie pochyłą ścieżką — tak brzmi dalszy ciąg tej wyprawy — gdy pod nogami uczułem jakiś miękki poruszający się wał. Kopnąłem dalej nogą ten wał, wołając na Peikerta o światło. Z trudnością zapalił zapałkę a wtedy ujrzeliśmy młodego wilczka.

Już się schylałem, aby go podnieść, gdy psy przybiegły wystraszone, ostrzegając nas niejako o niebezpieczeństwie, gdyż stare wilki nas okrążyły. Peikert ten najsławniejszy z myśliwych XIX stulecia drzał jak w febrze. Stracił prawie przytomność, gdyż tą razą nie tylko strzelbę i kordelas ale nawet i rzemień zostawił w domu. W noc ciemną otoczeni wilkami, broniącemi swych dzieci; bez żadnego punku oparcia, nie można się długo namyślać! Na szczęście wiedziałem, że tu zaraz są ułożone kupy gałęzi sosnowych. Schwyciłem chustkę od nosa i szal który miałem na szyi, zwinąłem w kłębek i zapaliłem, a gdym dorzucił suchych gałęzi, ogień prędko się rozszerzył i oświecił przestrzeń dość znaczną. Za pomocą kordelasu połupałem szczypę drzewa, Peikert przez ten czas o tyle przyszedł do siebie, że zdołał przynajmniej przykładać drzewa, aby utrzymać ogień. Ja tymczasem pochwytałem wilczęta i wpakowałem w torbę myśliwską. Buchające w górę płomienie ognia, który Peikert w pocie czoła podsycał, trzymały stare wilki w szachu. Kilka strzałów danych na wiatr, odwróciło na chwilę niebezpieczeństwo.

Teraz atoli trzeba było iść dalej, — dosyć to trudne zadanie. Peikert musiał dźwigać drzewo i sporą wiązkę łuczywa, wszystko to spoczęło na ramionach najodważniejszego z myśliwych. I tak otoczeni parą starych wilków, wędrowaliśmy przyświecając łuczywem do Hrabowa, od czasu do czasu dałem ślepy strzał, a Peikert wywijał odważnie po nad głowami improwizowaną pochodnią. Wycie psów, skomlenie młodych wilcząt, ciężkie westchnienia Peikerta, a obok rozzłoszczone stare wilki, które tylko za pomocą ognia i strzałów zdala od siebie trzymaliśmy, to zaiste smutny los. Pan Peikert byłby się chętnie wyrzekł całej nagrody, jakiej udziela państwo za schwytanie małych wilcząt. Nareszcie po całogodzinnej przechadzce dotarliśmy do leśniczówki w Hrabowie, schowaliśmy zdobycz i Peikerta w pewne miejsce przed wilkami. Dziś nie jechał on na wilku, nogi zbyt silnie mu drżały. Pomimo to przyjął połowę wyznaczonej nam przez rząd węgierski nagrody za zniszczenie młodych zwierząt.

Iskra w popiołach.

Jechali we troje eleganckim wolancikiem p. Ada, Albert i Tadeusz.

Popołudnie było bardzo piękne, ciepłe, pełne słońca.

Chociaż to dopiero kwiecień roztoczył swe panowanie, powietrze miało już woń jakąś ożywczą. Skąd się ta woń brała, doprawdy trudno wiedzieć.. Bo jeszcze i trawy świeżej prawie że nie było dokoła, a piaszczysta droga, wiodąca do podmiejskiego „zacisza", wyglądała jakoś smętnie, jesiennie, nagiemi gałęziami i nagiemi konarami drzew ustrojona.

P. Ada jest kuzynką Tadeusza, p. Albert jej mężem, a Tadeusz powrócił tylko co z długiej i dalekiej wędrówki po świecie.

Do swojej uroczej kuzynki, z którą tyle przegwarzyli i przefiglowali w latach pierwszej młodości, zgłosił się Tadeusz przedewszystkiem — i oto dzisiaj, rozradowani, weseli, jechali razem za miasto, aby pierwszych drgnień wiosny zakosztować.

Była to „kwietniówka" w całem tego słowa znaczeniu.

P. Albert piastował na kolanach pudełko cukierków, p. Ada drobną swoją rączką tuliła do łona butelkę „Pomery", wziętą z domowej piwnicy — dla oszczędności... Obiad postanowili zjeść na miejscu, w restauracji.

Z wielkim impentem zajechali przed letni przybytek prozaicznych uciech. Przywitał ich zastęp znudzonych bezczynnością kelnerów. Po za tem pokoje i gabinety były puste.

Albert obstalowywał obiad, a Tadeusz z Adą poszli do ogrodu.

Ślicznie wyglądała p. Ada tego popołudnia. Miała suknię blado-lila, mieniącą się i wdzięcznie otulającą jej zgrabną kibić. Już tylko parasolka chroniła przed promieniami słonecznemi jej jasną główkę, uwolnioną od kapelusza, i ciemny refleks

rzucała na twarzyczkę drobną, nerwową, pełną niebieskawych żyłek i parą wielkich zielonych oczu żyjącą.

Przypatrywał się Tadeusz z lubością pani Adzie, jak stąpała po wilgotnej jeszcze ścieżce młodego ogrodu.

— Czemu mi się tak przypatrujesz? — zagadnęła p. Ada — czym się tak bardzo zmieniła?

— Bynajmniej — odparł — jesteś taka sama, jak dawniej.

— Kiedyśmy się bawili w krokieta... pamiętasz?

— I kiedym pisał do ciebie moje pierwsze wiersze, a tyś nad temi wierszami płakała...

Zarumieniła się i zadumała.

— A jednak tyle zmian zaszło w mojem życiu... — szepnęła po chwili.

— A ja tyle nowych wrażeń doznałem!

Zamilkli i szli obok siebie powoli; zdawało się, że jednocześnie oboje myślą o tem samem: o minionych latach i o minionych wzruszeniach...

— Jak ci się podoba Albert? — zagadnęła po chwili.

— Jest bardzo miły...

— Jest przedewszystkiem bardzo dobry, bardzo!... wziął mnie takiem dzieckiem, rozmarzonem, rozpoetyzowanem!...

— Już dziś taką nie jesteś?.. nie?...

Znowu się zarumieniła.

— Dziś taką być nie mogę... — odparła.

Przerwali powtórnie rozmowę; czuli pewne pomieszanie.

— A jednak wspomnienia młodości są tak silne! — szepnął Tadeusz.

Odwróciła się ku niemu z uśmiechem zadowolenia.

— I ty także w to wierzysz? — zawołała.

— O, tak, wierzę!...

Donośny głos p. Alberta zawezwał ich z powrotem.

Objad był gotów, p. Albert w wybornym humorze; dysponował energicznie i z nieporównanym zapałem, który wyraźnie malował się na jego pulchnej i jowialnej twarzy.

Nie był wcale stary, ale nie był również pierwszej młodości; jego cała ruchliwa gruba postać nosiła dobitne piętno szczerości, prostoty i — parwenjuszostwa.

— Będziemy mieli pyszny obiadek, łapki lizać! — zawołał, zasiadając do stołu i zawiązując sobie na szyję serwetę — pocałujesz mnie za to, Adziu, zobaczysz.

I pierwszy zachęcił swoje towarzystwo do spożywania darów bożych, głośno smakując pierwszy łyk zupy z jarzyn.

Wszystko troje jedli z apetytem, mało co mówiąc i obficie popijając liczne potrawy białem winem francuskiem; po kwiczołach dopiero rozmowa zaczęła się ożywiać.

— Wracasz pan prosto z Włoch? — zapytał p. Albert, zwracając się do Tadeusza.

— Tak panie, prosto z pod południowego nieba, z Wenecji...

— Ach! Wenecja!... Wenecja!... — zawołał. — Cudne miasto!... Tam zrodziła się i tam umarła moja pierwsza miłość!... Ha! ha! ha!... nie obrazisz się o to, Adziu? — dodał kokieteryjnie mrużąc oczy.

— Bynajmniej — odparła.

I z pewnem lekceważeniem wydęła wargi.

— Byłem kiedyś także włóczęgą — ciągnął dalej p. Albert — w bardzo młodym wieku... Rozumiesz pan: ojciec dawał, dlaczego nie miałem jeździć?... Dzisiaj już mi się nie chce... doprawdy, tak mi dobrze w domu!

Mówiąc to, sięgnął po drobną dłoń Ady i złożył na niej przeciągły pocałunek.

Podano deser; wkrótce potem otworzono butelkę z domowej piwnicy p. Alberta.

Napełniły się płytkie puhary. Panowie zapalili cygara i gwarzyli o zagranicy. A p. Ada rozparła się w fotelu i głowę pochyliła na niską poręcz.

Miała wypieki na twarzy, jakieś nierówne, niby porwane w strzępki; zielone oczy utkwiła w sufit i tak spoczywała niema...

Do gabinetu, ze zwykłym szablonem urządzonego, wpadały ostatnie promienie zachodzącego słońca, staczając nierówną walkę z płonącą na stole świecą, której światło dygotało po każdym nowym kłębie dymu cygarowego; panowała w tym niewielkim pokoiku atmosfera jakaś duszna, narkotyzująca, zwłaszcza dla tych, co wypili kilka kieliszków.

— Prawda!.,. panie Tadeuszu, pan grasz! — zawołał p. Albert. — Na zakończenie tak wybornej i poetycznej wycieczki należy się deser muzyczny!... Panie, walca jakiego!... walca!...

Tadeusz zagrał walca, jednego z tych figlarnych a namiętnych walców. P. Albert rozpiął szeroko swój długi tużurek. Wyciągnął nogi przed siebie i uśmiechając się przymknął oczy.

P. Ada podparła teraz głowę dłonią i patrzała w okno, na zaglądające z całą dyskrecją cienkie gałązki drzew i na trzepoczące się wróble... marzyła...

A tymczasem po walcu nastąpiły romanse, piosenki i — p. Albert zasnął...

W gabineciku ściemniało się i żółtawy blask świecy coraz wyraźniej znaczył się na białym, z lekka zapruszonym i tu i owdzie popiamionym obrusie.

(Dokończenie nastąpi)